

RADOMIR DARMIŁA

POŻAR



**NA
PUSTKOWIU**

DROGA DO KILUMARY



CZEŚĆ 1: POŁUDNIE

1779 *kjura Kilumara*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dziś w nocy znowu śniłam to samo. Błąkałam się po pustych ulicach, brodząc w brudnej mgle w poszukiwaniu światła. Wokoło panowała cisza; nie słyszałam nawet dźwięków własnych kroków. Mijałam kikuty drzew, obwieszane włochatymi pnączami. Place wyłożone popękаныmi płytami. Budynki z oknami bez szyb. Żadnych ciał. Żadnych szkieletów. Nawet cieni, kryjących się głęboko w ciemnościach. Nie czułam lęku w tym śnie, wiedziałam, że nie muszę się bać. Wszystkie okropieństwa, które mogłyby nawiedzić to miasto, dawno już znikły.

Pytałeś mnie dzisiaj, o czym myślę, patrząc na mgiełnik. Nie potrafiłam wtedy odpowiedzieć. Nie umiałam ubrać uczuć w słowa. Wszystkie brzmiały tak obco, tak śmiesznie. Rozpacz. Brak nadziei. Jakbym kradła z kiepskiej tragedii. Ale może teraz, Igo, gdy już wiesz, o czym śnię, może lepiej mnie rozumiesz?

Pytałeś mnie, o czym myślałam, stojąc nad mgiełnikiem?

O ciszy, zwiędłej trawie i czarnych cieniach za mgłą.

Dziennik Siran Szel Wotan, wiosna 1776

Przed wyjściem na miasto Bastian opracował dokładną strategię działania. Plan obejmował picie na umór, zwiedzanie burdeli, a wszystko miała zakończyć rozgrzewająca ciało bójka. Nie chodziło przy tym o to, by komuś bez powodu, ordynarnie i po chamsku natrzaskać po ryju. Bastian nie uważał się za awanturnika – za pijaka czy dziwkarza też nie. Nie chciał zaczepiać spokojnych obywateli. Chciał, by to jego ktoś zaczepił.

Niestety, tego wieczoru dręczył go ewidentny pech. Napotykaniani przechodnie uchylali kapelusza, potrącani przepaszali i uciekali, jeszcze na odchodne życząc spokojnej nocy. Okropność. Żeby trafił się choć pijany żołnierz, wulgarny chmury-

narz albo bodaj kieszonkowiec, ale nie; sami urzędnicy i sklepikarze. Do usrania grzeczni. Zupełnie jakby wszyscy na tę jedną noc stracili jaja.

Bastian coraz bardziej zdesperowany krążył po rzekomo najbardziej parszywych dzielnicach Amdzadraty, z każdą minutą niepokojąco bliższy wytrzeźwienia. Nic więc dziwnego, że gdy dostrzegł kilka postaci mających na drugim końcu ciemnej ulicy, uśmiechnął się w duchu. O tej porze, w tej dzielnicy, to musiało oznaczać kłopoty i to przez duże „K”. Nareszcie.

Pogoda nie zachęcała do spacerów; powietrze przepełniał ostry, cierpki zapach, wieczorna mżawka znaczyła płaszcz zimną wilgocią. Bastian postanowił, że spróbuje ostatni raz. Jeżeli ci nieznajomi będą równie wkurwiająco uprzejmi, jak wszyscy dotąd, ciul z tym, wraca na „Sarennę”.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli, obcy przesunęli się pod ścianę, ustępując drogi. Teraz widział wyraźnie, że spośród nich dwie sylwetki miały zdecydowanie kobiece kształty.

Jasna cholera; mieszane towarzystwo, znaczy z rozróby nici – pomyślał zdegustowany.

Zwolnił kroku, otwarcie gapiąc się na tamtych, uśmiechnięty beczelnie, wciąż z resztkami nadziei na awanturę. Trzech mężczyzn, ponurych, wysokich, śniadoskórych, i dwie kobiety, jedna znacznie niższa. Przeniósł spojrzenie na wyższą z nich. Dostrzegł skryte pod czarnym kapturem blade policzki i błyszczące, czerwono-fioletowe oczy.

Elkari? – Przemknęło mu przez głowę. – *W takiej dzielnicy? Z takimi ludźmi?*

Nie chowała twarzy pod woalką, ale nie wyglądała na prostytutkę. Stojący obok łysol trzymał ją mocno pod ramię. Drugą ręką przyciskał jakiś przedmiot do brzucha dziewczyny. Bastian zawahał się i przystanął.

– Jakiś problem? – zapytał spokojnie.

Łysy mężczyzna rozciągnął twarz w krzywej parodii uśmiechu. Coś w jego spojrzeniu kazało Bastianowi cofnąć się i sięgnąć do boku. Opuścił wzrok: akurat, by dostrzec, jak tamten podnosi iskiernik. Zdążył pomyśleć, że zaraz zginie; uchylił się gwałtownie, wyciągając broń, rozpaczliwie świadomy własnej powolności.

Zabrzmiał suchy trzask wystrzału.

Bastian ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że nadal żyje. Stojący przed nim opryszek kłął, odpychając jedną ręką wysoką dziewczynę, drugą podnosząc pistolet do kolejnego strzału. Wciąż oszołomiony Bastian przyłożył iskiernik do piersi tamtego i nacisnął spust.

Wyładowanie przepaliło ciało łysola, rzucając nim o ścianę przeciwległego budynku. Kilka odprysniętych iskiek trafiło w ramię Bastiana. Zatoczył się, walcząc z bolesnymi skurczami mięśni. Na twarzy poczuł uderzenie gorąca; tuż obok jego nosa przemknęła błyskawica. Na wpół oślepiiony skierował broń ku pozostałym mężczyznom, ale iskiernik błysnął tylko słabym, niebieskawym płomieniem, trzeszcząc przy tym sucho. Bastian przeklął własną głupotę, przez którą poszedł na miasto z tak słabo naładowaną duszperłą, i skoczył ku napastnikom, ledwo unikając tańczących po kamieniach wyładowań. Dopadł pierwszego, dwukrotnie uderzając go czołem w nos. Wystarczyło: oprych cofnął się chwiejnie i padł.

Ostatni z przeciwników wycelował pośpiesznie. Bastian szarpnął się desperacko, ale tamten zamiast wypalić, postąpił krok w przód, przykląkł na kolano, wreszcie runął twarzą na bruk. Wciąż oszołomiony Bastian dopiero po chwili dostrzegł sterczącą z pleców leżącego przeciwnika rękojeść noża.

Naprzeciwko stała blada Elkari, ta której wzrok go zatrzymał. Dyszała ciężko. Miała asymetryczny, kolorowy tatuaż na twarzy – zdecydowanie nie pasowała do stereotypów. Druga dziewczyna, znacznie niższa, kuliała się pod ścianą, kryjąc twarz w dłoniach.

– Pieprzone śmiecie – powiedziała ta z tatuażami. W jej głosie nie było śladu emocji. Kopnęła z rozmachem jednego z leżących mężczyzn. – Mirin, podnieś tyłek. Już po wszystkim.

Bastian potrząsnął ostrożnie ramionami. Zapiekło go w boku. Najwidoczniej któryś ze strzałów jednak go dosięgnął. Uznał, że to nic poważnego.

– Są już panie bezpieczne – powiedział, podczas gdy wysoka Elkari klarowała coś cicho na ucho towarzyszcze. – Proszę poczekać, wezwę straż. Na latarni jest dzwonek alarmowy.

– Nie trzeba – odrzekła arogancko Elkari. – Idziemy. Jesteś

pan wolny.

Bastiana zatkało.

– Nie mogę pań zostawić samych – powiedział w końcu. – Sąsiedztwo jest tutaj dość, hm, nieciekawie.

– Odpieprz się pan wreszcie. Poradzimy sobie – rzekła dziewczyna. – Mirin, wstańże do cholery...

– Poradzicie? Jak z tymi tutaj? – Poirytowany Bastian wskazał ruchem podbródka ciała na ulicy.

Dziewczyna podniosła płonące fioletem oczy. W świetle latarni jej skóra, mokra od mżawki, lśniła jak wypolerowany kamień. Szare włosy zwisały w mokrych frędzlach. Nie licząc granatowych, niesymetrycznych tatuaży na policzkach – jednak typowa Elkari. Zwłaszcza z zachowania.

– Czekałam tylko na odpowiednią okazję – powiedziała. – Pan tej okazji dostarczyłeś, to wszystko. Zresztą, gdyby nie ja, już byś pan nie żył.

Dopiero wówczas dotarło do niego, dlaczego pierwszy nastnik spudłował. To ta dziewczyna z tatuażem; w ostatniej chwili uderzyła łysola w dłoń i iskra poszła w bok, nieszkodliwie rozbijając się o bruk ulicy. Poniekąd zawdzięczał jej życie, uznał niechętnie.

Tymczasem Elkari bezskutecznie usiłowała podnieść mniejszą towarzyszkę. Nie szło jej najlepiej. Wreszcie, zrezygnowana, wyprostowała plecy i wlepiła błyszczące oczy w Bastiana.

– Może zresztą się pan przydasz – powiedziała. – Łapaj ją pan. Ale z życiem, człowieku. I uch, na litość Wielkiej Matki... Oddychaj w inną stronę!

– Nie trzeba, Blonnid – rzekła ta druga. – Już dobrze. – Wbrew słowom, nie ruszała się jednak, wciąż chowając twarz za dłońmi w szarych rękawiczkach. To również Elkari, uznał Bastian, widząc włosy tak jasne, że niemal białe. Podźwignął skuloną dziewczynę, łapiąc ją pod bok.

– Szybciej! – syknęła Blonnid, przeszukując ciało jednego z leżących. – Nie mamy czasu. I uprzedzam, nie licz pan na nagrodę.

– Na początek przedstaw się pani – wycedził Bastian – a później wsadź sobie zapłatę w...

Blonnid parsknęła. Jej śmiech brzmiał koszmarnie, jakby pró-

bowiała oczyścić gardło i wysmarkać nos równocześnie.

– No proszę, podrapać lekko i proszę, co z człowieka wyłazi – powiedziała, chowając za pasem znaleziony przy zabitych iskiernik i ruszając przed siebie. – Żadnych nazwisk. Za mną.

– Mirin – wtrąciła drobniejsza dziewczyna. – Mirin Del...

– Nic nie mów, tępą dzido – przerwała towarzysze Blonnid.

– Zaraz zaczniesz żądać nie wiadomo ile. Tacy sądzą, że wszyscy Elkari śpią na srebrze. A my na ten przykład, proszę pana, jesteście biedne jak świętynne kurwy.

– Na zwykłe „dziękuję” też was nie stać? – burknął. – Ja się nazwiska nie wstydzę. Bastian Kal Ternet.

Wytatuowana Elkari stanęła jak wryta. Powoli odwróciła niedowierzające spojrzenie i zagulgotała urywanym rechotem.

– Kal Ternet? – powiedziała, podejmując marsz. – Bastian Kal Ternet? Nie wierzę! Mirin, słyszałaś?

– Co w tym śmiesznego? – zapytał, mocno już rozdrażniony.

– Ależ nic – odrzekła. – A właściwie to wszystko. Wielka Matko! Mirin, kobieto, zamknij buzię, bo ci coś wleci. Zaiste, że sobie tak pierdyknę filozoficznie, dziwaczne poczucie humoru mają Boginie Prządki.

Bastian zacisnął usta. Dziewczyna z tatuażami zignorowała go całkowicie, chichocząc tylko pod nosem. Szli w milczeniu. Blonnid przystawała co chwilę, oglądając się z niesmakiem.

– Mirin, nie możesz szybciej? – rzuciła. – Będziesz tak kuśtykać, to do rana nie dojdziemy na miejsce.

Zanim Mirin zdążyła odpowiedzieć, Ternet zatrzymał się i chwycił ją na rękę, ignorując protesty. Wyższa Elkari skinęła głową z aprobatą i poszła przodem. Bastian pośpieszył za nią.

– Nie musi pan mnie nieść – szepnęła Mirin. – To mnie trochę... zawstydza.

– Muszę – odrzekł Bastian. – Idzie panienska zbyt wolno.

– Tak w ogóle, zauważył pan, że ja się przedstawiłam? – szepnęła mu do ucha. – Mam na imię Mirin. Mirin Del Garma. Panna. A ona to Blonnid.

Dopiero teraz mógł się dokładniej przyjrzeć niesionej dziewczynie. Ciężka kaptura kryła twarz o subtelnych rysach, jasne oczy, zadarty nosek, czerwone, delikatnie skrojone usta. Wywarło to na nim nieoczekiwane duże wrażenie. Potknął się, szybko

złapał równowagę i, zmieszany, odwrócił wzrok.

– Bardzo mi miło – odparł przez zaciśnięte zęby. Po plecach i boku ciekł mu pot. Blonnid nadawała niezłe tempo.

– Proszę nie zwracać na nią uwagi. Ja wiem, że pan nie pomaga dla zapłaty.

– Jak nie, jak tak? – odrzekł całkiem serio Bastian. – Kilka franków zawsze się przyda.

– Naprawdę? – Zdumienie w głosie Mirin było tak szczere, że Bastian wbrew sobie poczuł, że już nie jest zły. Zerknął na dziewczynę jeszcze raz i z trudem ukrył uśmiech, widząc szeroko otwarte oczy.

– Oczywiście. Wezmę standardową stawkę tragarza. Spokojnie, nie wyjdzie drogo, nie jest panienka aż tak ciężka.

– Pewnie, że nie – zdecydowanie odparła Mirin. Drobne piegę na policzkach dodawały jej uroku. – Nie w tym rzecz. Nie wypada kobiecie – wyraźnie zaakcentowała ostatnie słowo – by ktoś ją nosił na rękach... chyba że kochanek.

Teraz już nie dał rady powstrzymać śmiechu.

Tymczasem wytatuowana dziewczyna stanęła, rozejrzała się i skręciła w boczną uliczkę. Bastian z westchnieniem podążył za nią. Miał nadzieję, że jego znajomość z arogancką Elkari zbliża się do końca i wkrótce będzie mógł powrócić na statek. Na ile znał Amdzadratę, zmierzali do Guderali – dzielnicy umiarkowanie eleganckiej, zamieszkałej przez średnio zamożnych kupców i rzemieślników.

Szkoda tylko, że nie zdąży poznać lepiej tej małej. Ale może tak właśnie jest dobrze. Zostanie w jej pamięci jako bohater, silny, odważny... choć trochę nieświeży, pomyślał ze wstydem. Dobrze, że jej więcej nie zobaczy. Nie zniósłby jej rozczarowania, gdyby zobaczyła go w świetle dnia i dostrzegła, kim jest naprawdę.

Po kilku minutach dotarli do wąskich schodów prowadzących stromo pod górę, między dwoma przysadzistymi kamienicami. Blonnid podniosła dłoń, wpatrując się intensywnie w mrok.

– Dester? – rzuciła półgłosem. – Dester, to ty?

Bastian puścił Mirin i sięgnął po iskiernik, z emocji zapominając o pustej duszperle. W szarym oparze za nimi gęstniały niewyraźne cienie. Instynkt, wyrobiony latami życia w cią-

głym niebezpieczeństwie, kazał odgadywać w nich zagrożenie. Blonnid cofnęła się, gestami nakazując ciszę.

– Z powrotem – szepnęła. – Mirin, ty przodem.

– Za nami ktoś idzie – mruknął Bastian. – Co najmniej dwóch.

Dziewczyna rzuciła niewyraźnym przekleństwem. Nic więcej nie zdążyła dodać.

– Broń na ziemię! – Padło zza ich pleców. – Nic wam się nie...

Blonnid nie czekała na resztę zdania. Posłała w stronę głosu błękitną błyskawicę, klepnęła Bastiana ponaglająco po ramieniu i przyklekła, grzejąc na osłep przed siebie.

– W nogi! – krzyknęła. – Na co, kurwa, czekasz, debilu!

Bastian złapał Mirin za dłoń i pobiegł. Ulica na przemian jaśniała w błyskach wyładowań lub nikła w kompletnych ciemnościach. Każdy ułamek sekundy przynosił odmienny obraz. Najpierw zobaczył dwóch mężczyzn, unoszących do strzału broń. Chwilę później jeden z nich już zwijał się z bólu, porażony łądunkiem iskiernika, a drugi wykrzywił twarz we wściekłym grymasie. W cieniu za nimi widział potężnego, czarnoskórego Dumetanu sprzężającego ciało do skoku.

I znowu ciemność, błysk, ciemność.

Nagle Bastian poczuł ból: całym jego ciałem targnął straszliwy skurcz. Upadł, szarpany drgawkami. Przelatywały nad nim kolejne łuki wyładowań, rozbryzgując się o ściany kamienic i zasypując rozkołysaną ulicę tysiącami iskier. Nad sobą widział czarne niebo, słyszał krzyki – chociaż nie wiedział, kto krzyczy i dlaczego. Ktoś pochylił się nad nim, widział twarze, zdające się wyskakiwać z mroku nocy. Błady, białobrody Elkari, obok niego zalana łzami twarz drobnej dziewczyny. Coś mówili. Nie rozpoznawał słów.

– Zanieście mnie na „Sarenę” – szepnęła. – Na mój statek.

Mężczyzna poruszył ustami, ale Bastian nic nie usłyszał.

– Mój statek – powtórzył, odpływając w dal. – „Sarena”.
W Niskim Porcie.

Zamknął oczy i pozwolił, by pochłonęła go słodka jak ciemnopurpurowy syrop, wolna od bólu nieświadomość.

Półmrok ciasnego korytarza ledwo rozświetlały jarzące się

resztkami sił lampki. Przejście blokowało dwóch żołnierzy w czarnych mundurach wojsk lądowych. Funkcjonariusz Bunan-sei machnął im przed oczami niewielką karteczką, klarując coś zawzięcie. Igo-ici czekał cierpliwie, trzymając dłonie za plecami. W ostateczności mógłby wyciągnąć z teczki legitymację Minwiedu, ale wówczas wszyscy wiedzieliby, że wysoki rangą urzędnik interesuje się uchodźcami z Monatu. To by było niewłaściwe, wbrew zasadom, w które święcie wierzył Igo. Przepływ wiedzy należy ograniczać. Inaczej mogłaby trafić do nieodpowiednich ludzi.

– Wszystko gra – powiedział człowiek z Bunan-sei, oglądając się nerwowo.

Igo nie pamiętał jego nazwiska. Siogaku? Siokagu?

– Możemy wchodzić.

– Wolałbym wejść sam – odrzekł Igo.

– To niemożliwe – odparł tamten, całym ciałem przekazując, jak bardzo mu z tego powodu przykro. – Gdyby chociaż pan tutaj był służbowo, rozumie pan, gdyby pan tutaj był... – podkreślił wyraźnie ostatnie słowo.

Igo wzruszył ramionami. Tak naprawdę nie spodziewał się innej odpowiedzi.

Aby wejść do środka, obaj Dumetanu musieli schylić głowy. Wysokość drzwi, jak wszędzie w Monaghoan, dostosowano do wzrostu mieszkańców Monatu, niskich nawet jak na Symergów. Prostując się, Igo miał przykre wrażenie, że zaraz uderzy głową w sufit.

Na ścianach pomieszczenia, po obu stronach drzwi, wisiały lampki starego typu z mechanizmem zegarowym. Tylko trzy z nich wciąż świeciły, z czego jedna zwisała smętnie na ostatnim gwoździu, niebezpiecznie bliska upadku.

Siedzący za stołem Elkari zignorował ich wejście, tępo wpatrując się w pokrytą smugami ścianę naprzeciwko. Człowiek z Bunan-sei pierwszy zajął miejsce. Igo przysunął sobie krzesło, na stole położył teczkę i otworzył ją nieśpiesznie. Wyjął ołówek, wygładził kartki papieru, po czym wyprostował plecy i założył kciuki za poły kamizelki. Światło z lampek pulsowało, rozbłyskując i powoli gasnąc w męczącym oczy rytmie zegarowego mechanizmu.

– Podał pan fałszywe nazwisko – stwierdził Igo, obserwując uważnie twarz tamtego. – Dlaczego?

– Jestem Matin Jul Turinen – rzucił Elkari obojętnie. – Kupiec.

– Chciał pan uciec z miasta – powiedział Igo, pocierając dłonią podbródek. – Nie pan jeden. Wielu obywateli Monatu ucieka. Bez sensu, niepotrzebnie wierzą we wrogą propagandę, ale trudno, nikogo siłą nie zatrzymujemy. Wyjazd to nie przestępstwo. Chyba... chyba że się poda fałszywe nazwisko.

– Jestem Matin... – zaczął Elkari, ale nie dokończył.

Człowiek z Bunan-sei uderzył pięścią w stół.

– Żarty na bok, Turan Szel Wotan! – warknął, nachylając się ku tamtemu. – Zostałeś rozpoznany przez mojego agenta!

– Dla Dumetanu wszyscy Elkari pewnie wyglądają tak samo – odparł natychmiast siedzący mężczyzna.

Igo parsknął niemal szczerym śmiechem. Z teczki wyjął rękawiczki i założył je nieśpiesznie. Później sięgnął po niewielką torebkę z grubej skóry i ostrożnie wytrząsnął zawartość na stół. Duszperła wielkości pięści potoczyła się po stole.

– Bardzo pana przeproszam za niedogodności – powiedział Igo. – Jeżeli mówi pan prawdę, osobiście dopilnuję, by pana wypuszczono. Najpierw jednak... Proszę dotknąć. – Popchnął ołówkiem perłę w stronę Elkari.

Człowiek z Bunan-sei sapnął, podrywając się na równe nogi.

– Panie Igo! – zawołał. – Nie pozwolę. Nie tak się umawialiśmy. Rozmowa, kilka pytań, rozumiem. Ale dotyk perły tej wielkości... To może nawet zabić.

– Zwykłego człowieka – odparł zimno Igo. – I to tylko w najgorszym wypadku. Zdrowy mężczyzna, nawet nie-Elkari, najwyżej straci przytomność. A pan Turan... Pan Turan przecież wie, że nic mu nie grozi, prawda?

Elkari obrzucił perłę obojętnym spojrzeniem.

– Jeszcze nigdy nie widziałem tak wielkiego kamienia – powiedział wreszcie. – Nawet w silnikach statków są mniejsze. Skąd pan to ma? Musiał pochodzić z naprawdę ogromnego perłogroza. W rodzaju tych, na które się nie poluje, za duże ryzyko. Do tego – może pan nie wie – tak wielka perła jest bez wartości. Mówię jako kupiec. Nie da się naładować. Zresztą to bez

znaczenia. Nie będę niczego dotykać.

Igo uśmiechnął się.

– Boi się pan? Aż tak nie docenia pan swoich możliwości? – zapytał, wstając. – Ale dobrze, zrobimy inaczej.

Podszedł do wiszącej na jednym gwoździu lampy. Jednym szarpnięciem wyrwał ją ze ściany. Rozkręcił mechanizm i wytrząsał na dłoń żarzący się delikatnie żwir. Wybrał najzimniejszy z kamyków, po czym położył go na kamieniach podłogi. Złapał za lampkę i kilkakrotnie delikatnie puknął w kamyk, odsuwając się jak najdalej i mrużąc oczy przy każdym rozbłysku.

– Powinno wystarczyć – powiedział na koniec. – Jak wystygnie, dam panu do ręki. Do napełnienia takiego ziarenka ja potrzebowałbym co najmniej dnia. A pan? Poczekajmy, powiedzmy, z minutę. Rozbłyśnie potem? Jak pan myśli?

Elkari potrząsnął głową. Igo uśmiechnął się raz jeszcze, zaębnił palcami wesoło o stół i usiadł.

– Tak naprawdę, pan mnie nic nie obchodzi – powiedział. – Mnie interesują informacje. Moana Szel Tumara. Znał ją pan. Gdzie jest?

– Niby dlaczego miałbym powiedzieć? – pogardliwie parsknął Elkari. – Gdybym wiedział, oczywiście.

– Informacja za informację. Siran Szel Wotan, to pana siostra, być może? Nie chciałby pan usłyszeć, co się z nią dzieje?

Mężczyzna powoli podniósł wzrok. W jego zimnym spojrzeniu po raz pierwszy od początku rozmowy pojawiło się coś innego od obojętnej pogardy.

– Chcę ją zobaczyć – powiedział wreszcie.

– To niemożliwe – odparł szybko Igo-ici. – Powtarzam, informacja za informację. To uczciwa cena... panie Turan. Gdzie jest Moana?

Turan milczał, wreszcie podniósł głowę.

– Pojechała do Dur Begheren – rzucił głucho. – Słyszałem, że... Do jakiegoś filozofa. Chyba. Nic więcej nie wiem. Nie znałem jej za dobrze.

– Filozofa – powtórzył Igo, marszcząc czoło. – Jest pan pewien?

– Tak – powiedział Turan. – Jest poza waszym zasięgiem – dodał mściwie. – Pewnie nie tego się pan spodziewał, co?

Igo wzruszył ramionami, pakując teczkę.

– Liczyłem na więcej, ale cóż... – powiedział wreszcie. – Zadzając pytanie, trzeba pamiętać, że nie każda odpowiedź nas zadowoli.

Wstał i ruszył w stronę wyjścia. Elkari poderwał się na nogi, uderzając w stół. Drobne duszperły z rozkręconej lampy potoczyły się po blacie, spadając na kamienną podłogę. Jedna po drugiej stukały o posadzkę, pac, pac, skrząc delikatnie, jakby kto aż po drzwi rozrzucił żar z gasnącego kominka.

– Stój!

Igo zatrzymał się z westchnieniem. To, co musiał powiedzieć, sprawiało mu przykrość.

– Obiecał mi pan coś – wycedził Elkari. – Siran. Co z nią?

– Nie żyje – odrzekł smutno Igo.

Elkari wytrzeszczył oczy. Kilkakrotnie otworzył i zamknął usta, nie wydając żadnego dźwięku.

– Jak... – wybełkotał wreszcie.

– To ja – powiedział Igo. – Ja ją zabiłem. Bardzo mi przykro, panie Szel Wotan. Naprawdę.

Wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Stojąca przed drzwiami młoda kobieta wyglądała poważnie, wyjątkowo poważnie jak na swój wiek. W dłoniach trzymała biały kapelusz z szerokim rondem, bardzo elegancki, na oko za czterdzieści franków. Ten kapelusz musiał kosztować więcej niż cała reszta jej ubioru. Może oprócz rękawiczek.

Rękawiczki, stwierdził po namyśle Menetarren, kiedyś też mogły być sporo warte. Kiedyś, zanim ktoś je rozdarł i potem zniszczył do reszty niedbałą naprawą.

Zupełnie jakby jakaś bogata dama podarowała służącej stare, niemodne już ubrania. Masz, dziecko, ponoś. Poudawaj kogoś, kim nie jesteś.

– To ja. Moana – stwierdziła kobieta spokojnym, cichym głosem. Jakby obwieszczała zgon. Albo zamknięcie baru.

– Aha – odrzekł ostrożnie Menetarren. Było w niej coś niepokojącego.

– Im dłużej będziesz mnie trzymał na progu, tym większa

szansa, że zostaną zauważona. – powiedziała.

– A to źle, ponieważ... ?

– Ponieważ nie chcę, by ktoś mnie zauważył, Kjorta – stwierdziła. – Chciałabym się czegoś napić. Zejdź z drogi.

Zdumiony Menetarren posłusznie przepuścił kobietę, zamknął drzwi i podreptał za nią korytarzem w głąb domu.

Mówiła mu po imieniu, a więc nie tyle go znała – znali go przecież wszyscy choć trochę obcy ludzie w Dur Begheren – co znała go dobrze, a to wcale nie musiało oznaczać czegoś przyjemnego. Skołowany Menetarren wskazał nieznamomej fotel w saloniku i ruszył do kuchni, marszcząc czoło.

Dalej, jesteś przecież pierwszym umysłem Begherawidy, a może i całego południa, pomyślał. *Oczywiście, biorąc pod uwagę współczesne umysły*, poprawił się skromnie. Dla filozofa takiego jak on, wydedukowanie kim była nieznajoma, powinno być pestką.

– Służba ma wolne – powiedział, przynosząc filiżanki i dzbanek z zimną kawą. – Miałem zamiar dziś wypoczywać.

Kiwnęła głową, nie komentując ani słowem.

Usiadł naprzeciwko, przyglądając się jej uważnie.

Z jednej strony z pewnością nie była, nie mogła być służącą. Nikt by jej nie zatrudnił – nie wyglądała na kogoś, komu wydaje się polecenia. Z drugiej strony zaś tak ubrana, bez makijażu, bez eskorty, zdecydowanie nie pochodziła z wyższych sfer. Jeszcze kwestia tego drogiego kapelusza i połatanych rękawiczek. Takich rzeczy nie rozdają w przytułkach. Menetarren, jako człowiek światły, niespecjalnie wierzył w fizjognomikę, ale nie potrafił uznać kobiety o tak regularnych rysach twarzy za złodziejkę. Jeszcze gdyby nie te oczy: nieruchome, wielkie, zimne i przeszywające na wylot. Złodzieje takich nie mają.

Prędzej morderczyni, pomyślał z pewnym niepokojem Menetarren. Może któryś z jego mniej zdolnych kolegów postanowił się zemścić za słowa przyjacielskiej krytyki. Może przysłał ją Wilbert; albo Osborn. Obydwaj mieli powody, mogli skrywać pewną niechęć do najwybitniejszego umysłu południa. Obydwóch wystawił na pośmiewisko, publicznie wytykając absurdalność poglądów.

– Nie lubię kawy – obwieściła kobieta.

Zaraz, przecież miałem wydedukować, skąd ona zna moje imię,

przypomnił sobie Menetarren. *Któraś z moich byłych? Nie, na kochankę, na niczyją kochankę nie pasuje*, pomyślał ze zważeniem. Zbyt młoda. Te oczy... coś mu przypominały. Chyba jednak już kiedyś ją widział, chociaż nie pamiętał gdzie. Może jakaś odległa rodzina?

– Nie lubisz kawy – powtórzył. – Wybacz, zapomniałem.

– Nie masz pojęcia, kim jestem – stwierdziła. – To ciekawe. Podobno potrafisz z pamięci wyrecytować zawartość stu traktatów filozoficznych. A mnie nie pamiętasz. Interesujące. Jakbyś miał dwa rodzaje pamięci, Kjorta.

I wówczas nagle sobie przypomniał.

– Moana Szel Tumara – powiedział zdumiony.

– Tak.

– Przysłał cię Dester.

– Tak. Nie dostałeś depechy? Obiecałeś, że pomożesz. – Moana zastanowiła się chwilę i dodała: – Gdy wyjeżdżałam, czułem się dobrze. Nie wiem, czy to cię interesuje. Jeżeli tak, to przykro mi, ale nic więcej nie wiem.

– Bogowie. Rzeczywiście. Dester. Tak, coś mu chyba obiecywałem, ale to było... bogowie, pół roku temu?

Rozmawiali wówczas krótko, nieprzyzwoicie wręcz krótko. Del Garma bardzo się śpieszył, musiał odwiedzić innych znajomych, by „podtrzymać kontakty”.

– Pamiętasz Moanę? – zapytał wtedy, a filozof mruknął coś, co Dester najwidoczniej uznał za potwierdzenie. – Nie zdziwi się, ale przysługę ją kiedyś do ciebie. Nie wiem kiedy, ale u ciebie będzie bezpieczna.

– U mnie?!

– Ciebie nikt nie będzie podejrzewać – wyjaśnił Del Garma. – Innych mogę posyłać standardową drogą, w transportach, ale ona... Musi jechać sama. Nawet chce jechać sama.

Moana. No tak; aż dziwne, że nie przypomniał sobie jej wcześniej. Widział ją wprawdzie tylko raz, na przyjęciu u wdowy Merrighen, w Amzadracie. Dwa lata temu. Zaproszono go, by wygłosił odczyt. W pierwszej chwili chciał odmówić – nie miał ochoty na podróż – ale później posłaniec przyniósł wezwanie do spłaty od jednego z wierzycieli i Menetarren uznał, że być może warto olśnić bogatych prostaków odblaskami wiedzy.

– Ustrój idealnego miasta w dziele Tikiego Malen Turmy, ze szczególnym uwzględnieniem solidarności społecznej – wyrecytował Menetarren. – Taki był temat.

– Możliwe – powiedziała Moana. – Nie pamiętam. Strasznie nudziłeś, Kjorta.

Menetarren uśmiechnął się pobłaźliwie. Rzeczywiście, dziewczynę tak prostą jak Moanę mowa mogła nieco znużyć, zwłaszcza że szybko zszedł z głównego wątku w rozważania na temat etyki zachowań. Oklaski dostał umiarkowane. Nicco go uraziło. Wprawdzie po bandzie grubych bankierów i kupców nie spodziewał się stymulującej intelektualnie dyskusji, ale mogli przynajmniej docenić spotykający ich zaszczyt. W końcu nie co dzień zdarza się okazja, by obcować z najwybitniejszym umysłem południa.

Potem zaczęła się kwesta na rzecz odbudowy Kilumary, co Menetarrena niezbyt interesowało. Ze wszystkich zbiorów tolerował tylko te na własne badania. Ewentualnie na spłatę bieżących zobowiązań.

– Wdowa plotła coś o dzielnych pionierach, konieczności wsparcia, duchowym uczestnictwie i takich tam bzdurach – powiedział Menetarren. – Okropność. Okropność. Stek banałów, płaskich i bez krzty polotu. Na szczęście zobaczyłem Destera. Gdyby nie to, umarłbym z nudów.

Dester Del Garma... Jedyne w miarę inteligentny człowiek w tej bandzie tępogłowych efektów chowu wsobnego. Poznał Destera jeszcze na uniwersytecie. Wspaniały chłopak. Dyskutowali o wnioskach, jakie należało wyciągnąć z upadku Numeridanu, oraz jak zmodyfikować idee Malen Turmy, by lepiej przystawały do rzeczywistości.

Później, po pogromie, Dester sprzedał resztki rodzinnego majątku i uciekł do Amdzadraty, zdaniem Menetarrena niepotrzebnie. Szybko dał się poznać jako rzutki i utalentowany kupiec. Podobno wszystko, czego dotyczył, zmieniało się w złoto. Oczywiście kontakty odziedziczone po ojcu i renoma Del Garmów na pewno mu w tym nie przeszkadzały, niemniej chłopak miał wrodzoną smykałkę do interesów. Wulgarne zainteresowanie pieniędzmi też zapewne odziedziczył po ojcu. Menetarren wiele razy próbował go nakłonić, by zajął się czymś

godniejszym. Bez skutku.

Dyskutowali później o wojnie. Dester uważał, że jest nieunikniona. Begherawida nie mogła dłużej przymykać oczu na ekspansję Konfederacji Dumetanu. Menetarren w pierwszej chwili parsknął śmiechem, ale po zastanowieniu musiał przyznać Desterowi rację.

– Oczywiście w takim wypadku Amdzarat poprze Begherawidę – powiedział. – Nie będą mieli wyjścia.

Dester przytaknął.

– Oczywiście – powiedział, zniżając głos. – Amdzarat, Monat, Pakkatarat. Ja się nie domyślam, Menetarrenie. Ja wiem.

– To trochę komplikuje wam sprawy, prawda?

– Trochę tak – przyznał Dester. – Nie jesteśmy gotowi.

– To prawda, ale... – powiedział z zadumą filozof – może nigdy byście nie byli gotowi. Na całym południu setki Elkari od lat siedzą w domach, łudząc się, że każdy kolejny pogrom będzie tym ostatnim. Wojna popchnie wszystkich do działania.

– Nie spodziewałbym się po tobie pochwały przemocy, Menetarrenie.

– Jakiej znowu pochwały!?! – oburzył się filozof. – Stwierdzam fakty. To nie znaczy, że mi się podobają. Ja je tylko akceptuję.

Później Dester powiedział, że chce mu kogoś przedstawić.

Tak, teraz wszystko do Menetarrena wracało. Dwa lata temu. Szmata czasu. Potrząsnął głową.

– Moana Szel Tumara – powtórzył. – Pamiętam. Pamiętam. Byłaś lepiej ubrana. Miałaś inną fryzurę.

– Możliwe – odrzekła obojętnie.

Menetarren zaśmiał się, wracając do wspomnień.

Wdowa Merrighen nie umiała przemawiać, ale za to wino podawała znakomite. Filozof z przyjemnością kosztował kieliszek za kieliszkiem i szybko poczuł się nieodparcie atrakcyjny. Dester odszedł gdzieś na chwilę wymieniać uprzejmości z żonami grubych bankierów, dziękując im za hojność i wsparcie Wielkiej Sprawy. Wtedy Menetarren spróbował Moanę pocałować. Dostał od niej w twarz, co tylko go rozśmieszyło.

– Niech mnie pan puści – powiedziała wówczas spokojnie.

– Mów mi Kjorta! – wybełkotał radośnie w odpowiedzi.

– Dobrze, Kjorta. Puść mnie i poczekaj chwilę – powiedziała.

– Pójdę po butelkę.

I poszła. Filozof czekał cierpliwie, na szeroko rozstawionych nogach, jedną ręką przytrzymując się krzesła. Gdy wróciła, wyciągnął dłoń z kieliszkiem, pewny siebie, wciąż nieodparcie atrakcyjny; zdążył powiedzieć, że źle trzyma butelkę.

Dziw, że nie zostały mu na głowie żadne blizny.

Oczywiście z odczytu wszyscy zapamiętali tylko, że młoda dziewczynka rozbiła szampana na głowie sławnego filozofa Menetarrena. Coś okropnego. Pewnie ta anegdotka trafi do jego życiorysu. Za dwieście lat wykładowcy będą ją opowiadać przyszłym studentom, by ożywić wykłady i nieco „ocieplić” wizerunek wielkiego filozofa.

– To przez tę fryzurę – powiedział Menetarren. – Gdyby nie ona, od razu bym ciebie rozpoznał.

– Nie sędzę – odparła poważnie Moana.

– Być może powinnaś była przyjść z butelką – powiedział i roześmiał się z własnego dowcipu.

Moana nie zareagowała. Obserwowała go tylko dalej nieruchomym, chłodnym spojrzeniem.

– Mam nadzieję, że nie będziesz próbował mnie pocałować – powiedziała w końcu. – Uprzedzam, że mi się to nie spodoba i odpowiednio zareaguję.

– Przyjmuję do wiadomości – odrzekł filozof poważnie.

– Potrzebuję pokoju. Do tego bieliznę na zmianę i ubrania – mówiła dalej Moana, sięgając do kieszeni. – Tutaj masz listę. A tu czek na okaziciela.

– Bor Boraton? – zdziwił się Menetarren, odczytując nazwisko gwaranta czeku. Coś mu to nazwisko przypomniało.

– Pseudonim – powiedziała Moana. – Konieczność.

– Po co? – dopytywał, jeszcze bardziej zaintrygowany.

Moana westchnęła tylko.

– Żebyś nie musiał tłumaczyć, dlaczego Dester Del Garma daje ci pieniądze – wyjaśniła. – Proponuję, żebyś udał się do banku natychmiast. W drodze powrotnej kupisz rzeczy z listy. Zanim wyjdiesz, pokaż mój pokój.

Menetarren nawet nie próbował protestować. Zabrał ją na piętro i machnął w stronę licznych drzwi, prowadzących do z dawna nieużywanych sypialni.

– Wybierz coś – powiedział, wycofując się na parter. Na dole usiadł na brzegu kanapy, oglądając jeszcze raz czek i kartkę zakupów. Zgrzytnął zębami. Trudno. Mędrzec dotrzymuje obietnic.

Później, gdy już wrócił z zakupów, po cichu zajrzał do kosza na papiery w swoim gabinecie. Między ponagleniami od wierzycieli, rachunkami ze sklepów i listami od wielbicieli znalazł nieotwieraną, prostą kopertę. Otworzył ją, wyjął ze środka złożoną kartkę i szybko przebiegł ją wzrokiem.

– Bor Boraton – mruknął, drapiąc się po łysiejącej głowie. – Bogowie i boginie, Dester faktycznie coś tam bredził o pseudonimach i konspiracji. Ale skąd miałem wiedzieć, że mówił poważnie?

ROZDZIAŁ DRUGI

Opowiadałeś mi dzisiaj historię Dumetanu, szkoda, że tak krótko. O waszych utraconych królestwach. Mędrcach, którzy zbudowali latające wyspy i ocalili wasz lud. Pięknie mówiłeś. Szkoda, że ja tak nie potrafię. Inne dzieci zawsze śmiały się z mojego głosu, dopóki większość z nich nie umarła, a te, które przeżyły, nie miały już ochoty na śmiech. To dziwne; połączyła nas śmierć wszystkich pozostałych. Ale nie o sobie chciałam ci dziś pisać, Igo. Chciałabym się odwdziaczyć za twoje historie. Nie umiem opowiadać, ale mogę pisać. Oto jedna z legend mojego ludu.

Dawno, dawno temu, kiedy Gummaran wydobyl z głębin mgielnika słoneczne wyspy, gdy tylko podarował je ludziom, podła królowa Zstupienników postanowiła jego dar zawłaszczyć. Wezwała najpodlejsze, najokrutniejsze istoty czające się w najczarniejszych czeluściach i spłodziła z nimi potwora. Nie miał rąk, tylko siedem głów. Nie miał oczu, tylko siedem śmierzdzących gęb. Potwór popętlł w stronę Kilumary, najstarszego miasta, i zaczął zionąć śmierzdzącą pomrocą w stronę pól, sadów i ulic. Rośliny więdły. Zdychały zwierzęta. A ludzie umierali tak szybko, że chowano ich wprost w ziemi, bez obrzędów i bez trumien.

Podniósł się lament do samego nieba. Wielka Matka pożatowała swoich dzieci i zesłała w nocy do pewnego młodego kowala. Zległa z nim, a rankiem urodziła cudowne dziecko, Ukajnena. Aby szybko rósł, przynosiła mu mleko niebiańskiej krowy, Mulatei – przy okazji, czy wiesz, co to krowa, Igo? Ja nie wiem. Zawsze mnie to ciekawiło. Co to za zwierzę, ta krowa, i czym się różni niebiańska od zwykłej. Wracając zaś do opowieści, minął tydzień i Ukajnen miał wygląd i rozum siedmiolatka. Minął drugi tydzień, przerósł ojca, a mądrością dorównał dziadkowi. Wykuł sobie wówczas miecz, nałożył maskę i zszedł w mgielnik. Walczył długo. Każdego dnia, o wschodzie słońca, ucinął potworowi jedną głowę. Po siedmiu wschodach

wrócił z siedmioma głowami do miasta, witany jako bohater.

Później zbudował wielkie młyny, poruszane cudownym mechanizmem, hen, na najdalszej północy, poza Pellegrhadorem, i oddał je pod opiekę siedmiu siostram i siedmiu braciom. Siedem siostr napętnia pęty, a siedmiu braci dba, by młyny się nie zepsuły. Młyny tworzą wiatr, który nie pozwala mgielnikowi podnieść się i zalać naszych szczytów. Od tej pory już nigdy Zstupiennicy nie zagrożą wyspom.

Ale przecież to nie znaczy, że nie będą próbować.

Dziennik Siran Szel Wotan, wiosna 1776

Przez kilka sekund po przebudzeniu Bastian nie mógł zrozumieć, dlaczego widok brudnego sufitu wydaje się tak niewłaściwy. Przede wszystkim powinno być ciemno, na policzkach powinien czuć wiatr niosący tysiąc zapachów. Do tego jeszcze pamięć uparcie podsuwała obraz drobnej, porażająco pięknej dziewczyny, bladej nawet jak na Elkari. Dopiero po chwili przypomniał sobie, w jaki sposób ją poznał. Walka z trzema oprychami, marsz przez ciemne ulice, wreszcie pułapka i noc rozogniona błyskami wystrzałów. A później? Nie pamiętał. Nie czuł wprawdzie bólu, ale musiał oberwać, zdecydowanie musiał. Stracił jednak przytomność.

Zmarszczył czoło. Nie był pewien własnych wspomnień. Czy tylko wośnie widział zapłakaną dziewczynę i ściany rozjaśnione kojąco ciepłym blaskiem?

Głośne pukanie przeszkodziło mu w głębszym rozważeniu tej kwestii.

– Panienska wyspana? – dobiegł zza drzwi znajomy głos.

– Trufin. – Bastian skrzywił się, siadając na prycy. – Ciszszej proszę.

Drugi oficer wmaszerował do kajuty, demonstracyjnie marszcząc nos.

– Na wszystkich bogów i boginie Amdzaratu, wyglądasz jak ścierwo. – powiedział z niesmakiem, przy okazji trącając stopą leżący na podłodze but. – Kapitan chce cię widzieć. Ubieraj się, ale z życiem.

– Powiedz, że nie mogłeś mnie znaleźć – burknął Bastian. –

Umarłem, porwali mnie mroczni ludzie, wymyśl coś.

– Przykro mi, ale jestem zmuszony nalegać. Kapitan jest wściekły.

– Na mnie? – Bastian zawahał się. – Cholera. Coś zrobiłem? Nie pamiętam. Nic nie pamiętam. Nawet, jak wróciłem na statek. Widzisz, dostałem z iskiernika i... Co? Co tak patrzysz?

– Bez urazy, Ternet, nie wyglądasz na kogoś, kto by wczoraj – Trufin podkreślił ostatnie słowo – oberwał błyskawicą. Mam inną teorię. Palileś z Brahidem, co?

Poprzedniego dnia chciał wciągnąć Brahida do realizacji swojego planu: woda, panienki, bijatyka, w dowolnej kolejności. Bosman odmówił. Mam lepszy pomysł, powiedział. Wyjął z torby małą paczuszkę, z namaszczeniem ją rozwinął i zademontrował niepozorne, zasuszone zioło. Prosto z Benedaru. Coś jak tytoń, powiedział, tylko lepsze. W Benedarze, mówił, palą to kapłani. Znaczy, nie cały czas, ale gdy chcą mieć wizje. Dzięki temu uwalniają umysły. Przechodzą na inny poziom świadomości. W sam raz na uczczenie ostatniego dnia w Amzadracie.

Ternet stanowczo odmówił. Nie miał wcale ochoty na duchowe podróże i poznawanie samego siebie.

– A gównu – odrzekł Bastian. – Zostawiłem Brahida z ziołami i poszedłem na miasto. A co? Zrobiłem coś głupiego?

– Głupiego? Gdybyś biegał na golasa po pokładzie, z fujarą pomalowaną na zielono i tyłkiem w żółte grochy, udając sztukę nowoczesną, wtedy byłoby to coś „głupiego”. Serio nic ci nie świta? – Trufin westchnął i usiadł na stołku naprzeciw koi Ternet. – Pomyśl. Gdzie jesteśmy?

Bastian zdumiony spojrział na drugiego oficera.

– Na statku... Zaraz, cholera. My lecimy?

– Owszem. A dlaczego, panie pierwszy, my lecimy?

– Nie mam pojęcia.

Trufin parsknął śmiechem i klepnął się dłońmi po kolanach.

– No to słuchaj, panie Kal Ternet... Opowiem ci kapitalną historię. Po prostu: ubaw po pachy. Budzę się ja dzisiaj i co słyszę? Otóż nic! Żadnych krzyków tragarzy, szczebiotu ptaków. Nic! Cisza kompletna. Dłoń przykładam do ściany: drży. Dziwna

sprawa, myślę. Startować mieliśmy po południu. Nikt mnie nie powiadomił o zmianie planów? Cóż, może kapitan dostał ekstra kontrakt? Odsuwam więc zasłony, wyglądam ja na świat i co ja widzę?

Bastian chwilę patrzył na Trufina, wreszcie wstał i jednym ruchem dłoni odsłonił świetlik.

– Mgielnik – powiedział zdumiony.

– Tuż pod powierzchnią, i całe szczęście. Żeby było ciekawiej, silnik wyłączony – powiedział Trufin. – Lecimy przez cholerny mgielnik. Jasny gwint, biegam po pokładach, patrzę, załoga śpi. Bez masek. Ktoś zapomniał ogłosić alarm.

Trufin umilkł, zaciskając zęby. Później odetchnął i podjął znowu głosem spokojnym i opanowanym:

– Kurwa, Ternet. Od pięciu godzin lecieliśmy prosto na północny zachód, na tereny Dumetanu. Dobrze, że statek niedawno uszczelniany. Zauważ, że opowiadam o tym, nie podnosząc głosu. Sam nie mogę wyjść z podziwu nad własnym opanowaniem. Ktoś inny wyrzuciłby cię za burtę. A ja – popatrz, stoję sobie i czekam, czekam, aż wreszcie wciągniesz na tyłek te pieprzone spodnie.

– Odczep się. Dobra, lecimy przez mgielnik. Skąd pomysł, że przeze mnie? – Bastian pochylił się, szukając butów.

– Ha, teraz zaczyna się ciekawie. Pędzę do sterówki, siedzi jeden fluger, kompletny nowicjusz. Taki, co najwyżej by się zesrał ze strachu, gdyby do czegoś doszło. A obok dwóch Elkari. Ze spluwami.

– Elkari? – ożywił się Bastian. – Wreszcie coś sensownego. Dwie dziewczyny, jedna z tatuażem, druga taka mała, śliczna śnieżynka, zgadza się?

– Nie. Pierwszy, wyraźnie powiedziałem „dwóch”, a nie: „dwie”. Faceci. Bez tatuaży. Poprosili mnie grzecznie, bym wyszedł. Pytam, jakim prawem, oni na to, że mają pozwolenie od kapitana. W porządku, myślę, czyli faktycznie kolejny genialny plan Sztorma, więc idę do starego, budzę, ale on nic nie wie. Nic!

– Dobra – powiedział Bastian. – Wiesz, co ci powiem, ale tak szczerze, od serca? Pieprzysz. Nie rozumiem, czemu miałbym mieć z tym coś wspólnego.

Skończył zakładać but i rozejrzał się za drugim.

– Fluger pilnujący furty twierdzi, że znali hasło. Od kogo? No? A kto wydał rozkaz startu mechanikowi, a potem wygaszenia silnika? No?

– Niby ja? – wydedukował Bastian. – Że co, niby polunatykowałem do siłowni, a mechanik przyjął polecenie od upalonego pijaka? Trufin, palnij się w łeb.

– No nie, rozkaz dotarł rurami komunikacyjnymi, ale go nie wydałem, kapitan też nie, czyli zostajesz ty, prawdaż?

– Gówno tam prawdaż – odrzekł Bastian, wyciągając but spod łóżka. – Rozkaz dotarł rurami ze sterówki, tak? A kto tam siedział? Mówiłeś chyba, Elkari?

– A kto ich tam zaprowadził? Zresztą czekaj, to nie koniec...

– Słucham – powiedział Bastian.

– Ci dwaj Elkari w sterówce właśnie celują do naszego Sztorma. Podobno nie bardzo wierzą, że dowodzi statkiem, ponieważ wcześniej, wyobraź sobie, otóż wcześniej kapitan Ternet wynajął im naszą cudowną „Sarenę”.

Bastian przerwał zawiązywanie buta i obrzucił drugiego oficera zdumionym spojrzeniem.

– Że co? – parsknął wreszcie. – Drugi, weź się odwal.

– Pierwszy, tak z ręką na sercu, ja ciebie nawet bardzo nie potępiam. Dostałeś wczoraj list, nie wiem, co w nim było, ale widziałem twoją reakcję. Chciałeś o czymś zapomnieć, poeksperymentować... No i miałaś okazję. Ziola Brahida.

– Odwal się, drugi – powtórzył Bastian, zapinając kamizelkę.

– Chodźmy już lepiej...

Trufin wyszedł z kajuty przodem, błazeńskim ruchem dłoni zapraszając Bastiana na zewnątrz.

Szybko przeszli krótki korytarz i stanęli przed wejściem do sterówki. Czekają tam dwóch flugerów dyskutujących o czymś zawzięcie. Na widok oficerów zamilkli, stając na baczność.

– Trzymają kapitana – powiedział z przejęciem młodszy z nich. – To Elkari! Nie pozwalają wejść. Szefie, co robimy? Iść po broń?

– Budzić załogę, czekać na dalsze polecenia! – polecił Trufin. Przez chwilę obserwował, aż chmurniarze znikną za załomem korytarza, po czym wkroczył do sterówki.

– Panie kapitanie! – obwieścił służbiście – zgodnie z poleceniem sprowadziłem winowajcę!

Dowódca „Sarennny”, Sztorm Keljan, siedział na kapitańskim fotelu, w rękę obracając złożoną lunetę. Nieświeży wygląd kapitana sugerował, że uprzednią noc spędził w towarzystwie butelki. Może nawet kilku. Z przodu mostku przy sterze stał sztywno wyprostowany, młody fluger. Oprócz nich w pomieszczeniu było dwóch białoskórych Elkari. Jeden z nich, z chustą zakrywającą pół twarzy, pilnował sternika, trzymając lekki, elegancki karabin, z rodzaju tych używanych przez piechotę szturmową. Drugi – młody, najwyżej dwudziestokilkuletni – siedział obok kapitana i bawił się niedbale niewielkim iskiernikiem o bogato zdobionej kolbie. Na widok wchodzących oficerów Sztorm Keljan poderwał się z miejsca. Młody Elkari natychmiast w niego wymierzył, nie zmieniając przy tym obojętnego wyrazu twarzy.

– Nareszcie – warknął kapitan, siadając ostrożnie i zerkając bojaźliwie na lunetę wycelowaną w siebie iskiernika. – Bastian, do cholery. Co to za jedni?

Bastian poprawił kamizelkę i posłał Sztormowi uspokajające spojrzenie.

– Dzień dobry panom – zagaił. – Bastian Kal Ternet, pierwszy oficer. Podobno mam coś wspólnego z waszą obecnością na pokładzie „Sarennny”.

Sztorm poczerwieniał. Przez chwilę zdawało się, że skoczy na swojego oficera z pięściami albo przynajmniej zacznie krzyzczeć, ale ostatecznie sapnął tylko głośno, zapadając głębiej w fotel.

– Dester wczoraj wynajął ten statek – powiedział Elkari trzymający iskiernik. – To jedyne, co nas interesuje.

– Ile razy mam tłumaczyć, że ja jestem właścicielem „Sarennny”, a z nikim, cholera, z nikim – na nic – się nie umawiałem! – ryknął Sztorm.

– Mam to w nosie – arogancko odparł Elkari. – Okręt został wynajęty. Od kogo, to już nas nie obchodzi. Resztę ustalcie między sobą.

– Może panowie zawołajcie tego Desterę – zasugerował delikatnie Bastian. – Widzicie, zaszło małe nieporozumienie.

Elkari przemyslał sprawę i skinął głową.

– Krel, biegiem po szefa – rzucił drugiemu.

Mężczyzna nazwany Krelem bez pośpiechu podniósł karabin i wyszedł.

– Zaraz wszystko się wyjaśni – powiedział Bastian z nadzieją.

Widząc spojrzenie kapitana, umilkł.

Niewygodna cisza trwała dobry kwadrans, nim do sterówki wszedł kolejny Elkari: młody, szarooki mężczyzna z krótko przystryżoną, białą bródką. Na jego widok coś przeskoczyło w umyśle pierwszego oficera.

– To pan – powiedział, z nagłą olśniony. – Kiedy leżałem na ulicy, pan się nade mną pochylał.

Nowo przybyły mężczyzna obdarzył go obojętnym spojrzeniem.

– Widzi pan, zaszło nieporozumienie – kontynuował Bastian. – Nie mogłem panu wynająć statku. Jestem tylko pierwszym oficerem.

– Rozumiem. – Brodacz z namysłem schylił czoło. – W takim razie mamy kłopot. Kapitanem jest...

– Sztorm Keljan, do pieprzonych usług – wycedził kapitan. – Teraz proszę powiedzieć swoim ludziom, by opuścili sterówkę. Wychodzimy z mgielnika i wracamy do Amdzadraty.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odparł brodacz. – Proszę nie wstawać, panie kapitanie. Na pewno dojdziemy do porozumienia. Jestem Dester Del Garma.

Bastian skinął głową. Tego właśnie imienia wzywała ta wytatuowana dziewczyna tuż przed początkiem strzelaniny.

– Gówno tam, niemożliwe! – wrzasnął Sztorm. – A ty zabieraj tę lufę, mówię ci! Zabieraj, zanim ci ją wepchnę w biały tyłek!

– Del Garma. Czyli Mirin to pana siostra – wtrącił Bastian, ignorując wybuch kapitana. – To wy mnie tutaj przynieśliście?

Sztorm, Trufin i Dester jednocześnie obrócili ku niemu twarze. Sztorm wściekły, Trufin rozbawiony, Dester, marszcząc brwi.

– Dokładnie tak – kiwnął głową Del Garma. – Powtarzał pan, że w Niskim Porcie jest pański statek. A nam akurat statek był bardzo potrzebny.

– Wydawał pan rozkazy w moim imieniu – stwierdził Bastian.

Dester przytaknął.

– Nie mieliśmy wyjścia. Uznałem, że nie będzie pan miał nic przeciwko. Sądziłem, że formalności załatwimy, kiedy dojdzie pan do siebie.

– No właśnie – przypomniał sobie Bastian. – Jakim cudem ja już stoję na nogach?

– Silny organizm, jak sądzę – odparł Dester. Odwrócił się do Sztorma Keljana, mierząc go uważnym spojrzeniem. – Panie kapitanie, przejdźmy do interesów. Proponuję pięćset franków za przewóz do Tariweli.

– Pięćset? – Kapitan spurpurowiał. – Pięćset? Miałem umówiony towar. Zarobiłbym dwanaście razy tyle. A tak będę musiał zapłacić jeszcze kary! Bastian, ja cię sprzedam do kopalni. Pięćset! To jakaś kpina! Żądam najmniej siedmiu tysięcy, albo zaraz wydam rozkaz powrotu do Amdzadraty!

– Za osobę – uściślił łagodnie Dester, na co kapitan umilkł. Widząc pytanie w jego oczach, brodaty Elkari uśmiechnął się pierwszy raz od wejścia do sterówki. – Trzydzieści osób.

Sztorm zastanowił się chwilę.

– Pięćset to za mało.

– Siedemset – powiedział Dester. – Wciąż uważa pan stawkę za zbyt niską? W takim razie osiemset. Więcej nie mogę zaoferować.

– To wychodzi... jakieś jedenaście tysięcy – powiedział z namysłem kapitan.

Ternet nie dziwił się błyskowi w jego oczach. Suma przewyższała zwykłą stawkę ponad sześciokrotnie. Nawet na luksusowych jachtach opłaty były niższe.

Na dodatek od pasażerów nie będzie musiał płacić cła.

– Podziwiam pańskie zdolności arytmetyczne, kapitanie... Niech będzie nawet i jedenaście.

– W porządku. – Kapitan wzruszył ramionami. – Pozostaje jedno pytanie. Dokąd?

– Nie interesuje pana, przed kim uciekamy?

Głupie pytanie, pomyślał Bastian. Przecież to oczywiste. Lot na żaglach, czyli bał się uruchomienia silników. Dlaczego? Bo

wówczas statek zostałby wykryty przez wuadper, wykrywacz aktywności duszperel. Kto ma dostęp do wuadperów w Amzadracie? Wojsko. Dumetanu.

– Nie – powiedział tymczasem kapitan. – Dwanaście tysięcy franków w zupełności zaspokaja moją ciekawość. Dokąd więc?

– Jedenaście – poprawił Dester. – Naszym celem jest Tariwela.

– Tariwela jest na północy – zauważył kapitan.

– Wiem, wiatr nam nie podpasował. Uznałem, że to nawet lepiej, zmylił pościg...

Kapitan, już całkowicie spokojny, z zadowoleniem kiwnął głową.

– To chciałem tylko powiedzieć, że to na północ, a wiatr mamy cały czas na zachód. O tej porze roku to szybko to się nie zmieni. Bez silników do Tariweli nie da rady. Uruchamiamy?

– Myślę, że już możemy – zgodził się Dester. – Ci, którzy nas ścigają, szukają na zupełnie innej trasie.

– Świetnie, umowa zawarta – kapitan wyciągnął dłoń w stronę brodatego Elkari. – Płatność srebrem, jak miemam? Weksli nie przyjmuję, papierami Amdzadraty może się pan podetrzeć, ewentualnie mogę wziąć kwity Dumetanu, ale wtedy cena pójdzie w górę.

– Płatność po dotarciu na miejsce. – Uśmiechnął się uprzejmie Dester. – Niestety, nie mam przy sobie zbyt dużej gotówki.

– Połowa teraz, reszta na miejscu – próbował targów kapitan.

– Przykro mi. – Elkari pokręcił głową. – Czy to wszystko? W takim razie przepraszam panów. Muszę zobaczyć resztę towarzyszy.

Uklonił się ostatni raz i wyszedł.

– A wy macie zamiar tak sterczeć i gapić się nam na ręce? – warknął kapitan w stronę uzbrojonych Elkari.

Tamci uśmiechnęli się tylko.

– To na wszelki wypadek – powiedział fałszywie młodszy z nich. – Gdybyście panowie potrzebowali pomocy.

Dowódca łypnął na niego srogo. Później odłożył lunetę i wstał energicznie, zakładając ręce za plecami.

– Alarm na wszystkich pokładach! – ogłosił. – Budzić załogę! Jeżeli będą jacyś chorzy, Ternet, osobiście urwę ci jaja.

Mechanik uruchomić silnik. Za piętnaście minut wszystko ma być gotowe do wyjścia z mgielnika. Trufin, wezwij Mahanę do steru, niech zastąpi młodego.

– Mahana nie nadaje się do użytku – zameldował radośnie Trufin. – Palił z Brahidem. Bosman też dopiero dochodzi do siebie. Może Aldera? Latał kiedyś na tym stanowisku.

– Dawaj Alderę. A ty, Ternet, wyjdiesz na zewnątrz, sprawdzisz błony, czy coś nas nie poharało. – Wydając rozkaz, kapitan twardo wbił wzrok w pierwszego oficera, jakby wyzywając go do sprzeciwu. – Później sprawdzisz, co się dzieje na dolnym pokładzie. I jeszcze jedno, pierwszy... Tym razem nie daruję. Naraziłeś życie nas wszystkich. W Tariweli poszukasz innego statku. Jeszcze zastanowię się, czy wspomnieć w Gildii o tym całym, całym... incydencie.

Bastian skinął głową bez słowa. Coś w głosie kapitana mówiło, że nie ma sensu się tłumaczyć.

– To tyle – zakończył kapitan, rozsiadając się na krześle. – A teraz, panienki, do roboty!

Mgła otaczała okręt ze wszystkich stron. Wokół burt tańczyły niewyraźne, zmienne kształty, spływając po napiętych błonach balonu, owijając się wokół sznurów i klejąc się do ramion. Wyobraźnia ubierała cienie w łuski i kolce, kazała doszukiwać się niebezpieczeństwa we wszystkich odgłosach. Owszem, Bastian niby wiedział, że istoty zamieszkujące mgielnik rzadko atakują ludzi. Niby wiedział, ale i tak za każdym razem, gdy sięgał w krążące wokół opary, musiał wpierw pokonywać niemal fizyczny opór własnego ciała. Ataki paniki zdarzały się nawet weteranom. Bastian ściągał kiedyś z pomostu technicznego doświadczonego, starego flugera, kurczowo uciepionego sznurów poręczy. Mężczyzna do końca rejsu odmawiał wyjścia na zewnątrz. Po dotarciu do portu natychmiast porzucił okręt.

Najlepszą metodą na lęki było całkowite skupienie na pracy. Nie patrzeć na nic poza sznurami, poza płótnem i błonami poszycia, zastanawiać się tylko nad tym, gdzie położyć stopy. Bastian zwykł jeszcze pogwizdywać, chociaż zniekształcone maską dźwięki za nic nie przypominały zamierzonej melodii.

Wychylił się jeszcze raz w dół, świecąc latarką, a później uniósł głowę. Drugi fluger na migi pokazał, że u niego wszystko w porządku. Bastian uniósł dłoń i zasygnalizował „wracamy”. Począł, aż fluger odpowie tym samym gestem, wyprostował plecy i uważnie stawiając stopy, przesunął się wzdłuż burty okrętu do śluzy. Zastukał w pokrywę okrywającą burtklapę. W środku z ulgą zdjął maskę z twarzy.

Podszedł do rury komunikacyjnej i uderzył w dzwonek.

– Gotów – odezwał się Trufin ze sterówki.

– Brak uszkodzeń, płótna i błony całe – zakomunikował Bastian.

– Brak uszkodzeń – potwierdził Trufin i niezbyt regulaminowo dodał: – Po sprawdzeniu magazynów robisz, co chcesz. Stary nie chce cię widzieć. Jasne?

– Jak słońce – odparł Bastian. Odwrócił się do chmurynarzy.

– Kubera, idziesz ze mną. Reszta wolne.

Na dolnym pokładzie, ciemnym i zimnym, wyraźnie dało się wyczuć słodką woń migdałów. Bastian natychmiast założył maskę. Obejrzał dokładnie pustą ładownię, po czym zawiadomił sterówkę, że nie odkrył niczego niepokojącego. Kuberze polecił uprzedzić załogę, by nikt na razie nie schodził na dół bez masek. Sam wrócił na górny pokład.

Chwilę wiercił się bez celu; wreszcie uznał, że skoro i tak nie ma nic do roboty, równie dobrze może wspiąć się na wieżę obserwacyjną podziwiać widoki.

Tymczasem zadźwięczały dzwonki oznaczające polecenie przygotowania do wznoszenia. Ternet nie zwrócił na nie większej uwagi. Taki stary wyga jak on nie czuł sensacji żołądkowych przy zmianie wysokości.

Na wieży na górze siedział tylko Brahid.

– Czołem, bosmanie. Słyszałeś najnowsze wieści? Przez to świętowanie, które mi próbowałeś wmusić, mogę stracić pracę – powiedział Bastian bez gniewu. – Drugi ubzdurał sobie, że upaliłem się i miałem wizję. Co gorsza, kapitan chyba mu wierzy.

– Ii tam. Kapitan co chwila kogoś wyrzuca – odparł Brahid.

– Mnie średnio raz na miesiąc. Że niby mam schudnąć dziesięć kilo, bo zmniejszam udźwig.

Kal Ternet westchnął i podszedł do półokrągłych świetlików.

Szyby ze specjalnie obrobionej błony wietrzniawca drżały niczym połówki mydlanych baniek. Podłoga wieżyczki chybotwała lekko. Kilkadziesiąt metrów pod nimi stalowe młotki właśnie uderzały w duszperły, każdym stuknięciem wyzwalając z kamieni zastrzyk energii i rozczzerwieniając siłownię blaskiem wyładowań. Bastian dokładnie wiedział, co się działo w każdym miejscu statku: właśnie zatańczyły tłoki w drżących silnikach, w wirnikach wolno poruszyły się potężne łopaty. Na samym dole flugerzy zrzucali balast.

Przez świetliki widział, jak balony z helem pęcznieją i dygoczą, jakby chcąc wyskoczyć ze skórzanych pasów. Statek powoli nabierał wysokości. Za oknami dostrzegał już pierwsze prześwitły, luki, rysy rzeźbione przez spadające z góry smugi światła.

Wreszcie „Sarena” uniosła się ponad mgiełnik. Chmury poniżej kotłowały się bezustannie, rozbłyszczone setkami, tysiącami kolorowych lśnień, pełne wijących się cieni. Statek mknął coraz szybciej, przechylał się na boki jak stary, tłusty i pijany moczymorda, rozdzierając dziobem wytryskujące z dołu kolumny szarego dymu. Za jedną z nich kilka perłogrozów grzało brzuchy w promieniach słońca. Na widok „Sareny” olbrzymie zwierzęta obróciły cielska i zamachały gigantycznymi skrzydłami. Przez chwilę Bastian sądził, że spróbują prześcignąć okręt, ale stado zmieniło kierunek i znikło w nieskończonym strumieniu oparów płynącym w dół.

– Uwielbiam ten widok – powiedział nagle Brahid.

Zaskoczony Bastian oderwał wzrok od widoku na zewnątrz.

– Ty?

– Nigdy mi się nie znudzi. Ptaki sunące po niebie... Chmury pod nami, nad nami, światło, słońce... W takich chwilach rozumem poetów. Czy ty się śmiesz?

– Ależ skąd. Po prostu, chłopie, znam cię kupę lat, ale o taki liryzm nigdy ciebie nie podejrzewałem.

– O co? – ostrożnie zapytał bosman. – To coś obraźliwego?

Bastian zaśmiał się tylko. Brahid zmarszczył brwi. Na koniec uznał, że rzecz nie jest warta sprzeczek i wrócił do podziwiania przesuwanych wiatrem chmur.

– Jeszcze kiedy służyliśmy w armii Begherawidy... Czasami,

przed rozpoczęciem bitwy, kiedy nikt nie patrzył, wyglądałem przez świetlik i po prostu... – bosman urwał, jakby dobierał odpowiednie słowa – po prostu patrzyłem. Przestań się szczerzyć. Otwieramy okna? Przydałoby się trochę przewietrzyć...

Dalszą rozmowę przerwało im skrzyknięcie otwieranej kłapy w podłodze. Obrócili się jednocześnie i jednocześnie zamarli.

Do pomieszczenia wspięła się młoda Elkari. Dziewczyna tak drobna, tak bezbronna i blada, że mogłoby ją zranić zwykłe dotknięcie. *Płatek śniegu na hałdzie węgla*, pomyślał Bastian, *prószek na grzbiecie perłogroza. Jak ona miała na imię?*

– Dzień dobry – powiedziała Elkari, rozjaśniając twarz na widok Bastiana. – Tutaj pan się chowa! Przepraszam, nie będę przeszkadzać? Chciałabym sobie zerknąć na niebo.

Bastian milczał, próbując znaleźć jakąś wyszukaną odpowiedź.

– Jesteśmy na służbie – odezwał się bosman. – No i nie za jasno tu dla Elkari?

– Nie, w sam raz. Mogę zostać? Będę cicho – obiecała dziewczyna.

– Proszę – powiedział wreszcie Bastian. – Pod warunkiem, że niczego panna nie zepsuje.

– To tu można coś zepsuć? – Zatrzepotała rękami dziewczyna.

– Potrzebuje panienka okularów? – Zatroszczył się bosman. – Albo chusty na twarz? Słońce...

Dziewczyna pokręciła głową.

– Kilka minut mi nie zaszkodzi. I tylko nie „panienko”, bardzo proszę. Jestem już dorosła. Dorosła!

Podeszła do okna i oparła się obiema dłońmi o poręczę.

– Piękne – westchnęła. – Jak sklep z puchowymi poduszkami. Nieprawdaż? Cudowne, kolorowe, puchowe poduszki, a pod nimi... Morze rozsypanych klejnotów. Czasami jakby do nas śpiewały, prosząc, by po nie sięgnąć, prawda?

– Jeżeli panience chodzi o syczenie, to wiatr – wtrącił bosman. – Nic niezwykłego, tak bywa, gdy zakotłuje się pomrocza. A może pływoły, one często buczą do siebie. Albo perłogrozy. Mineliśmy właśnie całe stado...

Uśmiech na chwilę znikł z ust Mirin, gdy omiatała Brahida

wzrokiem. Szybko jednak wróciła do Bastiana.

– Nie ma pan wrażenia, że tam coś jest, tam na dole, pod chmurami? Złote wieże pełne skarbów...

– Nie – odpowiedział. *Bogowie, jakie ona ma oczy*, pomyślał. Po prostu cudne. Jeszcze ten mały, zadarty nosek, nadający jej słodko-łobuzerski wygląd. Usta stworzone do nieśmiałych uśmiechów. Mógłby tak stać i słuchać jej głosu cały dzień, nieważne o czym by szczebiotała.

– Nie? Dlaczego nie? A może jednak? Może właśnie lećmy nad miastem mrocznych ludzi, czekających w ciemności na możliwość zemsty... Zna pan tę legendę, panie Bastianie?

Bastian znał. Nie wiedział wprawdzie, którą konkretnie opowieść ma na myśli dziewczyna, ale w sumie nie miało to znaczenia. Wszystkie były mniej więcej takie same. Bajki o mrocznych ludziach, pomroczarzach, zstąpiennikach – czy jak tam ich jeszcze nazywano – opowiadały nianie dzieciom od Pellegradoru na najdalszej północy, aż po Sztemeter w Gujamarze.

Ale zaraz, dziewczyna chyba coś do niego mówiła?

– Halo, panie Bastianie? Słucha mnie pan?

– Tak, przepraszam. – Oficer oprzytomniał. – Wspominałem legendy z rodzinnych stron. Na północy też mówią o mrocznych ludziach, ale u nas nazywają ich mglarzami. Nocą mglarze wypełzają z czarnej mgły i porywają niegrzeczne dzieci. Mszczą się za coś. Nie pamiętam już, za co. Za kradzież światła?

– Nie. Zna pan „Legendy i mity” Urnufta z Tariweli?

Bastian kiwnął głową.

– Oczywiście. Świetna rzecz. Miałem dziesięć lat, gdy dostałem od ojca.

– Właśnie! Nie pamięta pan? Jak ludzie światła i mroku pokłócili się, kto ma zająć szczyty, a kto zejść w mgiełnik?

Bastian uśmiechnął się. Rzeczywiście, teraz już pamiętał. Spór o wyspy. Jedna z jego ulubionych historii. Urnuft potrafił pisać jak mało kto, z werwą i humorem. Spór miał rozstrzygnąć ślepy bożek Gummaran. Ludzie podsunęli mu cydr, a mglarze mięso wietrzniawców. Gummaran mięso wypluł, przepłukał usta cydrem i przyznał wyspy ludziom.

Znał także inną wersję. W Dur Begheren słyszał, że szczyty na początku miały przypaść mglarzom. Królowa Begherawidy

wymyśliła wówczas podstęp. Kazała złapać wysłannika pomroczarzy, a później przebrała się i poszła do Gummarana prosić o błogosławieństwo i potwierdzenie daru. Bożek zorientował się w podstępie dopiero, gdy położył dłonie na jej głowie. Nie mógł wycofać błogosławieństwa, przeklął więc tylko kobietę, żądając, by po wsze czasy ona i jej potomkinie składały mu co miesiąc ofiarę z własnej krwi.

– Dużo pani czyta, panno Mirin – powiedział.

– O nie, żadnego „panno” – przerwała mu dziewczyna. – Po prostu Mirin. Wie pan, kiedy stanął pan w naszej obronie, myślałam, że to pomoc zesłana od samej wielkiej Ummy Tiremy. A później się pan przedstawił...

Elkari obdarzyła go rozmarzonym uśmiechem i wróciła do podziwiania widoku za oknem. *Niesamowite*, pomyślał Bastian. *Czyżby nie zauważyła mojego wyglądu?* Trudno było uwierzyć, że nie widziała dwudniowego zarostu, tłustych włosów i pomiętego ubrania. Nagle poczuł się bardzo brudny i bardzo, ale to bardzo nieświeży. *Bogowie, jak ja muszę śmierdzieć*, pomyślał zmieszany. Odsunął się nieznacznie.

Mirin tymczasem westchnęła głęboko, otrząsając się nagle.

– Strasznie tutaj zimno – powiedziała. – To znaczy zimno jest na całym okręcie, ale tutaj to już w ogóle trudno wytrzymać.

– Może lepiej, żeby panienka zeszła? – zasugerował bosman.

– Zażębi się jeszcze panienka...

– Trudno – odrzekła dziewczyna po chwili. – Dla tego widoku warto. Dla was to chyba nie pierwszyna, w końcu ciągle latacie. A pan, panie Bastianie, pan to wcześniej służył w armii, prawda?

– Owszem – przytaknął Bastian. – Opowiadałem o tym wczoraj? Nie pamiętam. Panny brat o tym też mówił. Czyżbym majaczył, kiedy byłem nieprzytomny?

– Coś pan wspominał, rzeczywiście... Dawno pan odszedł?

– Niedługo miną cztery lata – odrzekł.

– A gdzie pan służył, jeśli wolno zapytać?

– W armii Begherawidy.

– Razem służyliśmy! – wtrącił bosman.

– Begherawidy – powtórzyła dziewczyna. Podniosła głowę i przymrużyła okolone białymi rzęsami oczy, wpatrując się

w Bastiana z nieukrywanym napięciem. Teraz, w świetle słońca, błyszcząły krwistą purpurą. – To pewnie pan walczył w czasie rozruchów w Dur Begheren siedem lat temu? A może los rzucił pana gdzie indziej?

– „Walczyłem” to za mocno powiedziane – powiedział Bastian, zastanawiając się, dlaczego to takie ważne. – Ale byłem tam.

Mirin skinęła głową, jakby potwierdzając, że zrozumiała.

– Proszę już wyjść – zwrócił jej uwagę Brahid. – Skórę ma już panienska całkiem czerwoną. Za dużo słońca.

– Tak – powiedziała dziewczyna. – Za dużo. Bardzo dziękuję za rozmowę... i za to, że pan nas ratował. Znaczy wczoraj. I tak w ogóle dziękuję.

– Proszę nie dziękować. Byłem pijany i szczerze mówiąc, szukałem okazji do rozróby. Gdyby nie to... Kto wie, jak bym się zachował.

– Och. – Dziewczyna uśmiechnęła się. – Znam ludzi, którzy po pijaku dopuszczają się najgorszych świństw. A pan? Pan jest pierwszym człowiekiem, który piciem tłumaczy dobre postęпки. Do zobaczenia, panie Bastianie. Mam nadzieję, że jeszcze będziemy mieli okazję do rozmowy.

Kiedy dziewczyna wyszła, bosman się wzdrygnął.

– Byłaby nawet ładna, gdyby nie te oczy – powiedział. – Wygląda, jakby nie miała brwi. I rzęs. Elkari mnie przerażają... Ciebie nie?

– Nie – odrzekł Bastian zaskoczony. – Ani trochę.

– Chodzące trupy. Albo pieprzone wampiry – powiedział bosman. – Wiesz, moja babcia opowiadała, że Elkari łapią dzieci, które nie zdążą wrócić do domu przed nocą, i wypijają ich krew. Co mi przypomina, że widziałem kiedyś jednego flugera, którego dopadł kruchacz. Wyssał z niego krwi chyba z kwartę, potem oczywiście zdechł, ten kruchacz znaczy, chociaż dla chłopaka żadna pociecha. Po śmierci młody był tak samo bładny jak ta Elkari. Tyle tylko, że przynajmniej włosy miał w kolorze... Chociaż przyznaję, że dziewczynka cycki ma niezłe. Aż dziw, że chucherko chodzi prosto z takimi ciężarami, he, he...

– Cycki? – zdziwił się Bastian.

– No cycki, Bastuś, piersi, melony. Udajesz teraz, czy co? Serio nie zauważyłeś? – Zdumiony Brahid pokręcił głową. – Przecież... Zaraz, chwila. Pierwszy, coś błysnęło z prawej. Widziałeś?

– Lornetka – zakomenderował Bastian. Podniósł szkła do oczu i chwilę lustrował horyzont. Później uderzył w dzwonek przy rurach komunikacyjnych.

– Gotów – zaszumiało w rurze.

– Szybowiec na prawej burcie, z tyłu, wschód-południe-południe, trzysta metrów – zameldował.

– Przyjąłem. Kto nadaje? Ternet, to ty? Co ty tam robisz? Na wieży postawiłem Brahida.

– Jest ze mną – potwierdził Bastian. – On pierwszy zauważył. W rurze zaszumiało tylko w odpowiedzi.

Niecałe dziesięć minut później do pomieszczenia wspięło się dwoje Elkari. Młody, arogancki mężczyzna, ten sam, który wcześniej pilnował kapitana w sterówce. Za nim gramoliła się szarowłosa dziewczyna z chustą szczelnie zakrywającą twarz. Niosła karabin wyposażony w lunetę, z długą, posrebrzaną lufą.

– Cholera, następni – burknął bosman. – Złażcie stąd. Wieża obserwacyjna to nie miejsce schadzek.

– Dester nas przysłał – odparł sucho Elkari.

– Niech przynajmniej panienka zejdzie.

– Panienka? Mered, on cię obraża – wtrąciła dziewczyna.

Bastian natychmiast rozpoznał jej głos. Blonnid.

– Widzisz pan? Zasmuciłeś chłopaka.

– Proszę o lornetkę – rzekł Elkari. – Gdzie mam patrzeć?

Bosman niechętnie pokazał kierunek.

– Zwiadowca – powiedział Bastian. – Jeden pilot. Leci za nami już kilka minut. Równoległe do nas, trzyma cały czas tą samą odległość.

– Barwy Dumetanu – dodał Elkari. – Mógłby podlecieć bliżej, ale się boi... Czyli dobrze wie, że tutaj jesteśmy. Blonnid, możesz coś z nim zrobić?

Blonnid kiwnęła brodą. Odwinęła chustę, pokazując blade, wytatuowane policzki i podeszła do jednego z okien, zakręcając korbą odsuwającą szybę.

– Zaraz – powiedział Bastian. – Ona chyba nie zamierza

strzelać? To znaczy... szybowiec i tak leci poza zasięgiem. To co najmniej trzysta metrów. Chcecie postraszyć pilota? Bez sensu. Nawet nie zauważy. I dobrze, bo jakby zauważył, tylko by się wkurzył. Potem byśmy musieli tłumaczyć, dlaczego groziliśmy dumetańskiej armii.

– Straszyć? Nie do końca – odrzekł Elkari.

– Jak chcecie, mamy radio i lampę sygnałową – dodał Bastian. – Możemy błysnąć, że nie życzymy sobie towarzystwa.

Elkari zignorowali go całkowicie. Wytatuowana dziewczyna otworzyła komorę iskrownicy, wyłuskując ze środka duszperłę. Rozłożyła na deskach kawałek płótna. Zza pasa wyjęła ładownicę i delikatnie wyciągnęła z niej duszperłę, układając jedną po drugiej na leżącym płótnie. Na koniec przejechała po nich palcami, długo się przy każdej zastanawiając, zanim wreszcie jedną wybrała.

– Stój! – zawołał Bastian. – Rozkręć sprężynę. Włożyłaś duży kamień, do tego maksymalnie naładowany. Młotek uderzy za mocno. Iskra zniszczy karabin.

– Nie przeszkadzaj – odrzekła.

– Słuchaj, w dupie mam, że chcesz sobie odstrzelić pół twarzy, ale wybuch może uszkodzić pokład.

– Spokojnie, to oldebajn – wyjaśnił Elkari, jakby miało to odpowiedzieć na wszelkie zastrzeżenia.

Blonnid oparła lufę karabinu o dolną krawędź okna i przyłożyła lunetę do oka. Teraz już naprawdę wściekły Bastian chwycił ją za rękę.

– Zabierz łapę – powiedziała Blonnid z groźbą w głosie.

– Nie rozwalisz mojego statku.

Drugi Elkari wyjął iskiernik i nieśpiesznie przyłożył go do głowy Bastiana.

– Nie słyszałeś, co powiedziała Blonnid? – zapytał. – Zabierz łapę. Inaczej ten twój statek będzie potrzebował nowego pierwszego oficera. I mycia pokładu.

– Naprawdę chcesz spróbować? – powiedział spokojnie Ternet.

Elkari tylko wykrzywił twarz w pogardliwym grymasie. Bastian odpowiedział uśmiechem, po czym uderzył kantem dłoni w bok pistoletu, równocześnie wbijając mężczyźnie pięść w brzuch. Tamten zwinął się; Bastian natychmiast uderzył

znowu, krótko, przez skos od góry, trafiając w szczękę. W tej samej chwili rzuciła się na niego wytatuowana dziewczyna, wprost z kłęzek przechodząc do skoku. Dzięki rozpędowi powaliła go na ziemię. Zdążyła zadać Bastianowi dwa ciosy w twarz, nim zdołał silnym szarpnięciem zrzucić ją z siebie. Dziewczyna poderwała się na nogi, wyciągając zza pasa nóż.

– Wszyscy stać, albo rozwalę wam łby – wrzasnęła Brahid.

Bastian cofnął się, próbując nie spuszczać Blonnid z oczu, a równocześnie obejmując spojrzeniem resztę ciasnego pomieszczenia.

Mered wstawał powoli z rękami w górze. Jego iskiernik trzymał Brahid; szybkimi, nerwowymi ruchami przesuwiał pistoletem od mężczyzny do Blonnid i z powrotem.

– Powiedz grubasowi – warknął Mered – by oddał broń. Później obaj stąd macie zniknąć.

– Ty wciąż się jeszcze niczego nie nauczyłeś – powiedział zimno Bastian.

Dziewczyna, patrząc na Bastiana, parsknęła nagle i schowała nóż.

– Mered, daj spokój. Przecież to bohater! Dester ci nie mówił? Bohatera chcesz bić?

– Blonnid... – zaczął mężczyzna.

– Spokojnie, ja to załatwię. Wyjdź proszę. Wyjdź, powiedziałam.

Towarzysz Blonnid wyszedł, przedtem rzucając Bastianowi ostatnie nienawistne spojrzenie. Ona pochyliła się i podniosła leżącą na deskach pokładu duszperłę.

– Ty to jednak jesteś wariat. Oczywiście, gdybym chciała, dałibyśmy wam radę – zaznaczyła, klękając przy karabinie. – Widziałam wczoraj, co potrafisz, ale na mnie by to nie starczyło. Stawałeś jednak po naszej stronie, a to coś znaczy. Dlatego udzielę ci kilku rad. Po pierwsze, nigdy, ale to nigdy mnie nie dotykaj. Nie lubię. Bardzo nie lubię. Mogę ugryźć. Po drugie, jeżeli następnym razem zaczniesz ze mną bójkę, skończy się czyjaś śmiercią. Najpewniej twoją. Jeżeli więc nie jesteś gotów zabijać albo umrzeć, odpuść sobie. I po trzecie...

Dziewczyna podniosła czerwone oczy i spoważniała.

– Po trzecie, nie należy mi przeszkadzać, kiedy strzelam.

– Jesteś głucha? – powiedział Bastian. – Jeżeli natychmiast nie wstaniesz, połamię ci tę zabawkę i jeszcze spuszcę manto na tyłek.

– Pierwszy raz widzę człowieka tak bardzo pragnącego śmierci – odparła dziewczyna z zadumą, gładząc luźną iskrownicę. – Naprawdę myślisz, że nie wiem, co robię? To nie jest zwykły karabin, tylko oldebajn. Nie wybuchnie. Został specjalnie zapro-kurwa-jektowany do takich rzeczy.

– To jeszcze nie znaczy, że możesz grać z mojego okrętu do szybowców.

– Ach, no tak, zapomniałam, nie chcesz wkurzać Dumetanu. Tylko że o tym trzeba było pomyśleć wcześniej, zanim wczoraj stanąłeś w naszej obronie. Zabiłeś ich agentów. Ojej, nie wiedziałeś? No to już wiesz. Teraz wszystko jedno, czy będziecie do nich strzelać, czy machać chusteczkami. I tak macie przesrane. A my nie możemy pozwolić, by śledził nas ich szybowiec. Najgorsze, że mógł już zdążyć nadać meldunek o naszym położeniu. Trudno, strzelanie do Dumetanu jest dobrym uczynkiem niezależnie od okoliczności. A teraz zamknij buźkę albo zrobi się nieprzyjemnie.

Mówiąc to, dziewczyna przyłożyła oko do lunety karabinu. Odetchnęła głęboko i zamarła. Bastian zawahał się, wreszcie podniósł lornetkę. Szybowiec wciąż unosił się za ich ogonem.

– Pilot i tak nie zauważy – powiedział jeszcze. – A jak zauważy, to się nie wystraszy. To wojskowa maszyna, więc...

Usłyszał suchy trzask, kiedy Blonnid zwolniła spust. Karabin plunął niebieskim wyładowaniem. Pocisk, niesiony iskrą, pomknął do celu niczym rozżarzona do białości igła.

Szybowiec nagle zawirował, przechylił się i łagodnie opadł. Bastian śledził chwilę jego lot, zanim maszyna zniknęła w oparach mgiełnika na dole.

– Trafiłaś pilota – powiedział ze zdumieniem. – Z trzystu metrów. O, bogowie.

– Za pierwszym razem – powiedziała Blonnid, wyraźnie zadowolona. – Sama siebie zaskakuję. Przyznam się, że miałam naszykowane trzy kamienie.

– Ty idiotko – wybuchnął. – Zestrzeleliś wojskowy szybowiec Dumetanu. Z mojego statku.

– Spokojnie. Myślisz, że miał czas kogoś powiadomić, że go trafiłam? No? No? Miał? Co w najgorszym razie wiedzą teraz Dumetanu? Że szybowiec nas śledził i nagle bach! Nieszczęście, zaginał. Da się z tego wyłgać. W wymyślaniu bajek masz pan w końcu pewną wprawę. A teraz panowie wybaczą damie... Albowiem udaję się do kajuty. He, he. A gdyby pojawił się jeszcze jakiś zwiadowca, zawiadomcie. Se postrzelam.

Kiedy wytatuowana dziewczyna opuściła obserwatorium, Brahid splunął i potrząsnął głową.

– Dlatego właśnie nie lubię Elkari – wyznał. – Pieprzone wampiry. Bękarty nocy. Mam nadzieję, że żaden więcej już do nas nie wejdzie.

Kamgaru Uto nie cierpiał Amdzadraty. Tutejsze uliczki były zbyt wąskie, zbyt tłoczne, zbyt brudne. Tonęły w wiecznym półmroku, zacieniane przez wysokie budynki i rozpięte między nimi mosty. Dochodził do tego zapach, nieokreślony, zostawiający w ustach gorzki posmak. Przywodzący na myśl kadłub śmieciarki rdzewiejącej w wilgotnej ziemi. I jeszcze ci ludzie – tłumy ciemnokkich i ciemnoskórych Amdzajów, umykających przed spojrzeniem, wciskających się w brudne ściany, jakby agent bezpieczeństwa niósł im śmierć, nie wyzwolenie.

Na koniec – nazwa. Amdzadrata, stolica Amdzaratu. Źródło ciągłych pomyłek i zamieszania w papierach. Miejscowym to oczywiście nie przeszkadzało. Chaos był ich żywiołem.

Biuro Bunan-Sei znajdowało się w kamienicy należącej kiedyś do symergijskiego kupca. Po poprzednim właścicielu pozostały wielkie lampy, zwisające z pokrytych freskami sufitów. Ściany, wyłożone pociemniałym ze starości drewnem, straszyły rzeźbionymi twarzami miejscowych bożków handlu i fortuny. Amdzajowie lubili luksus, kochali przepych, uwielbiali jaskrawe bezguście.

– Dokładnie o czasie – powitał go Matoro. – Generale, to pan Kamgaru. Mój zastępca w sprawach akcji zabezpieczenia zasobów na północny wschód. Kamgaru, pan generał Tugartu. Przełożony sił integracyjnych na Amdzadratę. Generał ma kilka pytań.

– Pytań?! – ryknął Tugartu. – Pytać, to może zwykły szeregowiec! Ja żądam, panowie. Żądam wyjaśnień!

– Ależ oczywiście. – Kamgaru uklonił się nisko. – Pozwoli pan, że zawołam sekretarza, by przyniósł nam czarkę czegoś rozgrzewającego? Paskudna pogoda, prawda? Niestety tutaj tak zawsze... Tym bardziej cieszy, że tak znakomita osoba znalazła czas, by nas odwiedzić.

Podsunał generałowi miękki puf. Zadzwoił po sekretarza, po czym usadowił się na rozłożonym przy niskim stoliku kielimie. Udobruchany generał zgiął kolana i usiadł. Kamgaru obserwowował go z ustami rozciągniętymi w uprzejmym uśmiechu. Z przyzwyczajenia opracowywał plan zabicia gościa. Żadnej broni w pobliżu, trzeba by więc generała udusić. *Ale wówczas musiałbym dotknąć tych zwisających podbródków*, pomyślał z obrzydzeniem. Nie, zdecydował, należałoby jednak pójść najpierw po nóż o odpowiednio długim ostrzu.

– Właśnie się dowiedziałem, że ktoś wysłał mój okręt z Amzdadraty – powiedział Tugartu. – Mój okręt! Bez mojej wiedzy!

– Bardzo przepraszam, generale. – Agent schylił głowę. – Proszę najmocniej o wybaczenie. To sprawa najwyższej wagi, niestety brakło czasu.

– Gadka szmatka – burknął Tugartu. – Macie pojęcie, kim jestem?!

Sekretarz przyniósł czarki i niewielką, porcelanową butelczkę. Generał niecierpliwie odprawił go, zanim sekretarz zdążył cokolwiek nalać. Nachylił się ku Matoro i mówił dalej, znacznie już spokojniej.

– Słuchajcie teraz uważnie: ja wiem, kogo szukacie. Wiem! Chcecie dopaść Mirin Del Garmę. Jedną z tak zwanych „dzieci Szel Tumary”. Zaskoczeni? Ha! Ma się te kontakty. Tak jest. Znaie Dugarę-gensu? Ja znam. Chodziłem z nim do akademii. Tak! Z samym Dugaru! A los tej waszej Del Garmy interesuje także kontrwywiad wojskowy. Którego przełożonym na północny wschód jest kto? Ja. Dlatego teraz odpowiecie na wszystkie pytania. Jasne? Czy nie jasne?

– Oczywiście – powtórzył Matoro. Jego ton uległ zmianie. – Generale, jeżeli chce nam pan grozić, proszę opuścić biuro.

– Grozić? Kto wam grozi? – parsknął Tugartu. – Przecież nie

ja. Po prostu nie lubię niedomówień.

Generał wstał i strzepnął marynarkę, wyrównując zmarszczki na mundurze.

– I jeszcze jedno – sprawą interesuje się też Ministerstwo Wiedzy. Nie będziecie chcieli ze mną porozmawiać, pójdę do Igo-ici. Znacie go? Ha! Widzę, znacie. Więc jak? Współpraca? Czy idziemy na ostre? Dodam, że ja coś wiem! Coś, co wam się przyda. Tak, tak, o tej Mirin mówię. Zgubiliście ją. Beze mnie jej nie znajdziecie. Jak będzie?

Kamgaru obserwował generała z zaciekawieniem, nie zmieniając wyrazu twarzy. *Trzeba będzie wyjść niby po dokumenty, pomyślał spokojnie, wrócić z nożem. Później cios prosto w serce. Gorzej będzie z ukryciem ciała.* Spojrzał wyczekująco na Matoro. Przełożony nie uśmiechał się już, przeżuwając w myślach ultimatum generała. Wreszcie energicznie pochylił ciało do przodu, całym sobą przytakując wypowiedzanym słowom.

– Dobrze. Niech będzie współpraca. Odpowiem na wszelkie pytania.

– Świetnie. Tak więc: wasz cel to Mirin Del Garma. Nie macie pojęcia, gdzie jest. – Generał nabrał powietrza. – Tylko dlaczego jest taka ważna? Tego nie łąpię. Nic a nic! Więc? Bez wciskania bzdur, jeśli łaska.

Matoro zawahał się chwilę.

– Mirin i pozostałe dzieci Szel Tumary... – powiedział wreszcie powoli – potrafią... naładować średniej wielkości duszperłę w nieco ponad dwie godziny, po prostu ją nosząc przy sobie. Jeżeli się skupią – w ciągu kwadransa.

Generał uniósł brwi.

Czas potrzebny do wypełnienia duszperel zależał od wielkości kamienia. Dla tych używanych w karabinach iskrowych przeciętny zdrowy mężczyzna potrzebował od dwudziestu do trzydziestu dni. Dzieciom zajmowało to znacznie dłużej, zwłaszcza tym z biedniejszych dzielnic, dla których ładowanie duszperel bywało jedynym dostępnym zajęciem oprócz żebrania. Z kolei Elkari – o ile niżali się do tak nisko płatnego i niezbyt poważanego zajęcia – wystarczały dwa tygodnie.

– Zgoda, robi wrażenie – przyznał wreszcie generał, marszcząc czoło. – Dwa tysiące duszperel zamiast jednej. Taka Mirin

załatwiłaby zaopatrzenie dla dziesięciu strzelców na jedną bitwę. Hm. Ale... trzeba by takich dziewczyn mieć dziesiątki. Zaraz – ile ich jest? Tych dzieci Szel Tumary? Igo-ici twierdzi, że pół tuzina. Prawda? Czy nieprawda?

– Mniej więcej – uciął Mataro. – Ale widzi pan, generale, nie chodzi jedynie o ładowanie pereł. Dokładnie nie wiemy, co potrafią. Podejrzewamy tylko, że dużo. I dlatego właśnie potrzebujemy Mirin. Do badań.

Tugartu pokiwał głową, najwyraźniej trawiąc otrzymane informacje.

– Teraz kolej na pana – powiedział Mataro. – Czekam na te pańskie rewelacje.

– Wczoraj w nocy Amdzadratę opuściła nagle „Sarena”. Mały okręt kupiecki. Nie powiadomili zarządu portu. Według grafiku mieli odlecieć dopiero dzisiaj z zakontraktowanym zbożem i winem na przewóz do Gemerydy.

– To nic nowego – odpowiedział niecierpliwie Mataro. – Moi ludzie już o tym donieśli.

– Tak, ale potem szukaliście ich w złym kierunku. A ja? Ha! Ja kierunek znam dobry. Widzicie, założyłem, że skoro w rzecz się pakuje Bunan-Sei, sprawa jest poważna. Postawiłem na nogi zwiad. No i bomba: kilka godzin temu szybowiec wypatrzył statek pasujący opisem do „Sareny”. Zaraz po meldunku zwiadowca bach, zniknął. Zniknął! Przyczyna nieznana. Tak. Ważne, że „Sarenę” dostrzegł na kursie do Tariweli.

– Dużo nam to nie daje – mruknął Mataro. – Już ich nie dogonimy.

– Wyślemy agentów – podsunął Kamgaru.

– Uto, do Tariweli? Przecież nasi ludzie nie mogą tam szturmować budynków jak tutaj.

– Dlaczego? – zdziwił się Kamgaro. – Przecież nie mówię, by śłać Dumetanu. Mam na służbie Amdzajów. Ajkarów też by się paru znalazło.

– A jeżeli obiekt opuści miasto? – wysunął obiekcję Mataro. – Z Tariwelą nie tocymy, i chyba na razie nie chcemy toczyć wojny. Nie możemy posłać okrętu. Z tego, co wiem, a pan generał na pewno potwierdzi, dowództwu bardzo zależy, by Tariweli nie prowokować.

Na obliczu generała pojawił szeroki, pewny siebie uśmiech.

– Słyszałem, że Bunan-sei otrzymało uprawnienia do kontroli transportów z Amdzadraty – powiedział. – To zrozumiałe. Musicie przecież sprawdzać, czy nie zabłąka się między nimi jakiś towar, hm, bez znaczenia strategicznego, który mógłby przypadkowo, hm...

Mataro przerwał dalsze wywody niecierpliwym ruchem dłoni.

– Bunan-sei z chęcią skonsultuje wszystkie kontrole z Siłami Integracyjnymi – powiedział. – Wracając zaś do naszego problemu, pan generał ma pomysł, jak go rozwiązać?

– Owszem. Jednym z warunków kapitulacji Amdzaratu było przejście oddziałów najemnych i części okrętów pod nasze bezpośrednie dowództwo – powiedział Tugartu, wciąż uśmiechnięty. – Nasze, znaczy moje. Czy kogokolwiek by zdziwiło, gdyby niektórzy z nich się zbuntowali i uciekli? W końcu tyle lat walczyli przeciwko nam. Łapie pan? Czy nie łapie?

– Rozumiem – powiedział z namysłem Kamgaru. – Jeżeli nasi agenci nie dotrą do obiektu w Tariweli, powiadomią wasz okręt. Kiedy obiekt opuści Tariwelę, wtedy dopadną ich... piraci.

– Nie podoba mi się ten pomysł – zastrzegł Mataro. – Można im ufać? Tym Amdzajom?

– Nie Amdzajom, najemnikom – skorygował Tugartu. – Taka tam zbieranina. Wystarczy im odpowiednio zapłacić.

Przełożony Bunan-sei zastanawiał się przez chwilę, stukając nerwowo paznokciem w filiżankę.

– W porządku – powiedział wreszcie. – Generale, dziękuję za informacje i pomoc. Wyślemy do Tariweli najemników i paru naszych agentów. Pan przygotowuje statek.

– Jeszcze jedno. Jak ich odnajdziemy potem? Del Garmów? Gdy opuszczą Tariwelę? Przecież nie mogę kazać łapać każdego statka. Statku. Zresztą jeden okręt nie dałby rady, zbyt duży tam ruch. Zbyt duży. Z drugiej strony, jeżeli wyślemy więcej jednostek, ktoś się w końcu zorientuje... Więc?

– To już nasza rzecz – odrzekł Mataro. – Tak się składa, że jeszcze dzisiaj powinni nam dowieźć rozwiązanie tego problemu. Mówię panu: gdyby Elkari poczekali jeden dzień, nigdy nie udałoby im się uniknąć pościgu. Panowie, wypijmy za początek udanej współpracy!

Pożar na pustkowiu: Droga do Kilumary
Copyright © Radomir Darmiła
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2022 r.

druk ISBN 978-83-7995-573-2
ebook ISBN 978-83-7995-574-9

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Bożena Walewska
Korekta: Paulina Gruszecka
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl